

The background is a monochromatic blue-toned image of a snowy winter landscape. In the middle ground, a small cabin with a chimney is visible through a misty or snowy atmosphere. In the foreground, the lower half of the image is dominated by a close-up of a creature's open mouth, showing rows of sharp, pointed teeth. The overall mood is cold and ominous.

STEPHEN
KING

ŁOWCA SNÓW

NDSS

Ten skrót stał się ich mottem, ale Jonesy za cholerę nie potrafił sobie przypomnieć, który z nich go wymyślił. „Zemsta jest rozkoszą bogów” — to było jego. „Ja cię pierdzielę” i parę innych, jeszcze barwniejszych bon motów wywodziło się od Beavera. Henry nauczył ich, że „karma zawsze wraca”, przepadał za takim szajsem w stylu zen, nawet kiedy byli jeszcze dzieciakami. Ale NDSS, co z NDSS? Kto to wymyślił?

Nieważne. Najważniejsze było to, że wierzyli w pierwszą połowę motta, kiedy było ich czterech; w całość, gdy było ich pięciu; drugą połowę, gdy znów została ich czwórka.

Kiedy znów było ich czterech, dni stały się mroczniejsze. To były dni z rodzaju „ja cię pierdzielę”. Rozumieli to, choć nie wiedzieli, dlaczego tak się działo. Podejrzewali, że coś jest z nimi nie tak, a przynajmniej, że coś się zmieniło, ale nie mieli pojęcia co. Wiedzieli, że są osaczeni, nie potrafili jednak określić, jak do tego doszło. A wszystko to na długo przed światłami na niebie. Przed McCarthym i Becky Shue.

NDSS. Czasami to tylko słowa. A kiedy indziej nie wierzysz już w nic, prócz ciemności. I jak wtedy miałbyś sobie radzić?

1988: Nawet Beaver miewa gorsze dni

Powiedzieć, że małżeństwo Beavera się nie ułożyło, to tak jakby powiedzieć, że start promu kosmicznego Challenger nie całkiem się udał. Związek Joego „Beavera” Clarendona i Laurie Sue Kenopensky przetrwał nieco ponad osiem miesięcy i łubudu, posypał się z hukiem i został po nim tylko cholerny bałagan.

Beav jest zasadniczo pogodnym facetem, każdy jego kumpel wam to powie, ale właśnie nadeszły dla niego naprawdę trudne chwile. Nie widuje się z przyjaciółmi (a przynajmniej z tymi, których uważa za swoich prawdziwych przyjaciół), jeżeli nie liczyć jednego tygodnia w listopadzie, kiedy spotykają się jak co roku, a w listopadzie zeszłego roku on i Laurie Sue byli jeszcze razem. Ich związek już się sypał, ale nadal byli razem. Teraz spędza sporo czasu — dobrze wie, że zdecydowanie za dużo — w tawernach w okolicy Starego Portu w Portlandzie: w Porthole, Seaman’s Club, Free Street Club. Za dużo pije, popala za dużo trawki, a rano nie może patrzeć na swoje odbicie w lustrze: odwraca spojrzenie i zaczerwienionymi oczami spogląda w bok, myśląc sobie: Muszę przestać przesiadywać w knajpach, bo niedługo skończę jak Pete. Chryste Panie na bananie.

Koniec z klubami, z imprezowaniem, świetny pomysł, bez dwóch zdań, ale zaraz znów się tam pojawia, cmoknijcie mnie w gwizdek i co u was słyszać. W ten czwartek trafia do Free Street, w rękę ma piwo, w kieszeni skręta, a z szafy grającej dochodzą dźwięki jakiegoś przeboju instrumentalnego, który brzmi jak The Ventures. Nie pamięta tytułu tego szlagiera sprzed lat. Ale zna go, od czasu rozvodu często słucha stacji radiowej z Portlandu nadającej stare złote przeboje. Działają na niego kojąco. A te nowe kawałki... Laurie Sue знаła i lubiła wiele z nich, ale Beaver za nimi nie przepada.

We Free Street jest prawie pusto, paru klientów przy barze i drugie tyle w głębi sali, przy stole bilardowym. Beaver i jego trzech kumpli siedzą przy stoliku, popijając kufłowego millera i grając w karty starą wysłużoną talią, żeby ustalić, kto płaci

za kolejkę. Co to za utwór, z tymi charakterystycznymi gitarami? *Out of Limits*? *Telstar*? Nie, w *Telstar* jest syntezator, a tu go brak. W sumie co to kogo obchodzi?

Tamci trzej rozmawiają o Jacksonie Browne, który występował wczoraj wieczorem w Civic Center i dał naprawdę świetny występ, a przynajmniej tak twierdzi George Pelsen, który był na koncercie.

— Opowiem wam o czymś jeszcze, co było zajebiste — mówi George, spoglądając na nich świdrującym wzrokiem. Wysuwa do przodu podbródek i odwraca głowę, by pokazać im wszystkim czerwony ślad z boku szyi. — Wiecie, co to jest?

— Malinka, no nie? — odzywa się dość nieśmiało Kent Astor.

— Pewno że tak — potwierdza George. — Po koncercie pokręciłem się z chłopakami przy wyjściu ze sceny. Liczyłem, że uda mi się zdobyć autograf Jacksona. Albo, czy ja wiem, może Davida Lindleya. Jest spoko.

Kent i Sean Robideau zgadzają się, że Lindley jest spoko — na pewno żaden z niego bóg gitary, co to, to nie (bogiem gitary jest Mark Knopfler z Dire Straits, Angus Young z AC/DC no i, ma się rozumieć, Clapton), ale w sumie jest całkiem niezły. Świetnie improwizuje, no i te jego dredy. Aż do ramion.

Beaver nie włącza się do dyskusji. Pragnie tylko się stąd wydostać, wyrwać się z tego zatęchłego żalosego baru i odetchnąć świeżym powietrzem. Wie, co zamierza powiedzieć George, i wie, że tamten kłamie.

Ona wcale nie miała na imię Chantay, nie wiesz, jak się nazywała. Przeszła obok, jakby w ogóle cię tam nie było, kim zresztą mógłbyś być dla takiej dziewczyny jak ona, kolejnym długowłosym robotnikiem z kolejnego robotniczego miasteczka w Nowej Anglii. Wsiadła razem z kapelą do autokaru i tyle ją widziałeś. Znikła raz na zawsze z twojego pieprzonego nudnego życia. The Chantays to nazwa zespołu, którego właśnie słuchamy, nie Mar-Kets, nie BarKays, ale właśnie

Chantays, tytuł utworu to *Pipeline*, a ten znak na twojej szyi to nie malinka tylko ślad po maszynie do golenia.

Tak właśnie myśli Beaver i nagle słyszy płacz. Nie w knajpie, lecz w swoim umyśle. Płacz z przeszłości. Ten szloch wdziera się do głowy niczym odłamki szkła i do diabła, ja cię pierdzielę, niech ktoś coś zrobi, żeby on w końcu przestał płakać.

To ja sprawiłem, że przestał, myśli Beaver. To byłem ja. Sprawilem, że się uspokoił. Przytuliłem go, a potem mu zaśpiewałem.

Tymczasem George Pelsen opowiada im o tym, jak drzwi w końcu się otworzyły, ale nie pojawił się w nich Jackson Browne, ani nawet David Lindley, tylko trzy dziewczęta z chórką, Randi, Susi i Chantay. Seksowne, wysokie i takie apetyczne.

— Rany! — woła Sean, wywracając oczami. Jest niskim, korpulentnym facetem, którego erotyczne podboje sprowadzają się do niezbyt częstych wyjazdów do Bostonu, gdzie gapi się na striptizerki w Foxy Lady i kelnerki w Hooters.

— Rany, skubana Chantay. — Wykonuje ręką gest, jakby się onanizował. Przynajmniej w tej kwestii wygląda na prawdziwego specjalistę, myśli Beaver.

— No i do nich zagadnałem... a konkretnie do niej, do Chantay, i spytałem, czy nie chciałaby zobaczyć, jak wygląda nocne życie w Portlandzie. A potem...

Beav wyjmując z kieszonki wykałaczkę i wsuwa ją do ust, a wszystko wokół cichnie. W jednej chwili nic nie jest dla niego ważniejsze niż ta wykałaczka. Ani stojące przed nim piwo, ani skręt w kieszeni, ani tym bardziej kompletnie zmyślona historyjka George'a Pelsena o tym, jak on i mityczna Chantay wylądowali na tylnej kanapie jego pick-upa. Dzięki Bogu wóz miał mocne resory, gdy się autko me kolebie, wiedz że jestem w siódmym niebie. To wszystko jedna wielka ściema, myśli Beaver i nagle ogarnia go głęboki smutek, większy nawet niż wtedy, gdy Laurie Sue spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła

się do matki. To ani trochę do niego nie pasuje i nagle jedyne, czego pragnie, to wyrwać się stąd, wypełnić płuca chłodnym powietrzem o posmaku soli morskiej i znaleźć telefon. Chce zadzwonić do Jonesy'ego albo do Henry'ego, nieważne do którego, i powiedzieć: „Hej, stary, co u ciebie?”, na co któryś z nich odpowiedziałby: „No wiesz, Beav, NDSS. Żadnego odbijania piłki, żadnej gry”.

Wstaje.

— A ty co? — pyta George. Beaver chodził z George'em do Westbrook Junior College i wtedy wydawał się w porządku, ale to było bardzo dawno temu. — Dokąd się wybierasz?

— Idę się odlać — odpowiada Beaver, przesuwając wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

— Lepiej się streszczaj i wracaj tu w trymiga, bo zaraz będzie najlepsze — mówi George, a Beaver myśli: majtki z rozcięciem. O rany, dziś to stare dziwne odczucie jest wyjątkowo silne, może to ciśnienie albo coś takiego.

Zniżając głos, George mówi dalej:

— Kiedy zadarłem jej spódniczkę...

— Wiem, wiem, okazało się że miała na sobie majtki z rozcięciem — dopowiada Beaver. Dostrzega w oczach George'a zdumienie, prawie szok, ale nie zwraca na to uwagi.

— Marzę, żeby o tym usłyszeć.

Odchodzi, zmierzając w stronę męskiej toalety, skąd bije woń moczu i środka do dezynfekcji, mija ją, przechodzi obok damskiej toalety i drzwi z napisem BIURO, po czym wymyka się na zewnątrz, w zacisze wąskiej alejki. Niebo jest białe, zanoszi się na deszcz, ale powietrze wydaje się cudowne. Naprawdę cudowne. Napelnia nim płuca i raz jeszcze w jego myślach pojawia się tamto hasło. Żadnego odbijania piłki. Żadnej gry. Uśmiecha się pod nosem.

Maszeruje dziesięć minut, żując wykałaczkę, i czeka, aż przejaśni mu się w głowie. W którymś momencie — nie wie, kiedy konkretnie — wyrzuca skrętą, którego miał w kieszeni. A potem dzwoni do Henry'ego z automatu w Joe's Smoke

Shop, przy Monument Square. Spodziewa się sekretarki automatycznej, Henry powinien być jeszcze w szkole, ale okazuje się że wcale nie, bo oto odbiera telefon już po drugim sygnale.

— Co u ciebie, stary? — pyta Beaver.

— Przecież wiesz — odpowiada Henry. — Nowy dzień, stary szajs. A u ciebie, Beav?

Beaver zamyka oczy. Przez chwilę wszystko znów jest w porządku, a w każdym razie na tyle, na ile to możliwe w tym zafajdanym świecie.

— Tak samo, kolego — odpowiada. — Dokładnie tak samo.

1993: Pete pomaga damie w opałach

Pete siedzi za biurkiem, w salonie samochodowym Macdonald Motors w Bridgton, obracając między palcami breloczek do kluczy. Na breloczku widnieją cztery niebieskie wypukłe litery: NASA.

Marzenia starzeją się szybciej niż marzyciele — to bolesna prawda, którą Pete odkrył z upływem lat. Jednak te drugie umierają wyjątkowo niechętnie, pojękując z cicha gdzieś z tyłu głowy. Upłynęło sporo czasu, odkąd Pete sypiał w pokoju o ścianach oblepionych zdjęciami rakiet Apollo i Saturn, astronautów, kosmicznych spacerów (EVA*, dla tych, którzy wiedzą, o co chodzi), kapsuł o powłokach osmalonych i stopionych przez żar podczas ponownego wejścia w atmosferę oraz LEM-ów, lądowników księżycowych, Voyagerów, a także jednym, przedstawiającym lśniący dysk unoszący się nad autostradą międzystanową nr 80 i ludzi stojących na pasie awaryjnym, którzy osłaniając oczy dłońmi, patrzą w górę.

* EVA — Extra-Vehicular Activity — inaczej spacer kosmiczny — wyjście kosmonauty poza statek łączące się z tzw. zajęciami pozapojazdowymi.

Napis pod zdjęciem brzmi następująco: „Obiekt ten, sfotografowany w pobliżu Arvada w Kolorado w roku 1971, wciąż pozostaje niewyjaśnioną zagadką. To prawdziwe UFO”.

Naprawdę sporo czasu.

A jednak udało mu się spędzić jeden z dwóch tygodni tegorocznego urlopu w Waszyngtonie, gdzie codziennie chodził do Smithsonian i przechadzał się wśród eksponatów z pełnym rozmarzenia i uśmiechem zadumy na twarzy. Większość czasu spędził, gapiąc się na księżycowe skały i myśląc: Te kamienie pochodzą z miejsca, gdzie niebo jest zawsze czarne, a wokoło panuje niczym niezmacona cisza. Neil Armstrong i Buzz Aldrin zabrali ze sobą dwadzieścia kilogramów obcego świata i teraz jest on tutaj.

A on jest tu. Siedzi za biurkiem, w dniu, w którym nie sprzedał ani jednego auta (kiedy pada, ludzie nie kupują samochodów, a w tej części świata od rana siąpi deszcz), obraca między palcami breloczek z logo NASA i wlepia wzrok w zegar. Popołudniami czas płynie wolniej, a gdy dochodzi piąta, wlecze się naprawdę niemiłosiernie. O piątej przyjdzie pora na pierwsze tego dnia piwo, nie wcześniej. Gdybyś pił za dnia, jak alkoholicy, być może musiałbyś zauważyć, że pijesz za dużo. Ale jeśli potrafisz poczekać... zwyczajnie siedzieć, obracając w palcach breloczek na klucze, i czekać...

Tak jak na pierwsze tego dnia piwo, Pete czeka na nadejście listopada. Wypad do Waszyngtonu w kwietniu był naprawdę udany, a księżycowe skały niesamowite (wciąż na samą myśl o nich zapiera mu dech), ale pojechał tam sam. A to już nie było takie fajne. W listopadzie, kiedy weźmie drugi tydzień należnego urlopu, będzie z Henrym, Jonesym i Beaverem. I wtedy też będzie mógł napić się za dnia. Kiedy jesteś w lesie i wybierasz się z kumplami na polowanie, nie ma nic złego w tym, że się napijesz. To w pewnym sensie tradycja. To...

Drzwi otwierają się i do salonu wchodzi niebrzydka brunetka. Ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu (a Pete

lubi wysokie kobiety) i około trzydziestu lat. Obrzuca przelotnym spojrzeniem stojące tu samochody (najatrakcyjniejszy wydaje się nowy model thunderbirda w kolorze burgunda, choć explorer niewiele mu ustępuje), ale już na pierwszy rzut oka widać, że nie zamierza żadnego kupić. Dostrzega Pete'a i rusza w jego stronę. Pete wstaje, upuszcza breloczek z logo NASA na suszkę na blacie biurka i wychodzi kobiecie naprzeciw, żeby powitać ją w drzwiach swojego biura. Uśmiecha się do niej promiennie, angażując cały swój urok osobisty — możesz mi zaufać, dziecinko — i wyciąga rękę na powitanie. Ręka kobiety jest chłodna, uścisk dłoni zdecydowany, ale widać, że coś ją niepokoi.

— Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie — mówi.

— Nie należy zaczynać w ten sposób rozmowy ze sprzedawcą aut — mówi Pete. — Lubimy wyzwania. Nazywam się Pete Moore.

— Dzień dobry — odpowiada kobieta, ale nie zdradza swego imienia, które brzmi Trish. — Jestem umówiona we Fryeburgu, dokładnie za... — spogląda na zegar, który Pete obserwuje z taką uwagą przez całe popołudnie — ...czterdzieści pięć minut. Spotykam się z klientem, który chce kupić dom, a ja znalazłam mu coś odpowiedniego, no i mam szansę na sporą prowizję, tylko że...

Jej oczy wypełniają się łzami, przełyka ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło i wydobyć z siebie głos — ...zgubiłam kluczyki, ot co! Posiałam gdzieś cholerne kluczyki do samochodu!

Otwiera torebkę i zaczyna w niej grzebać.

Ale mam dowód rejestracyjny... i inne dokumenty... są tu wszystkie dane, jakich potrzeba. Pomyślałam, że może zrobiłby mi pan nowy komplet, żebym zdążyła na spotkanie. To może być dla mnie najlepsza transakcja w tym roku, panie... — Zapomniała. Nie ma jej tego za złe. Nazwisko Moore jest równie pospolite jak Smith czy Jones. Poza tym jest zdenerwowana. To z powodu kluczyków. Miał ze sto razy do

czynienia z podobną sytuacją.

— Moore. Ale proszę mówić mi Pete.

— Pomoże mi pan, panie Moore? Może jest tu ktoś inny, kto mógłby mi pomóc?

Stary Johnny Damon z pewnością chętnie by jej pomógł, ale i tak nie zdążyłaby na spotkanie do Fryeburga.

— Oczywiście możemy dorobić dla pani nowe kluczyki, ale to potrwa co najmniej dobę, a może nawet dwie — mówi.

Kobieta patrzy na niego wilgotnymi od łez, brązowymi oczami, a z jej ust wrywa się zboląły krzyk: „Niech to szlag!”. Pete’owi przychodzi do głowy dziwna myśl, że ta kobieta przypomina mu kogoś, kogo znał dawno temu. Nie za dobrze, nie znali jej zbyt dobrze, a jednak wystarczająco, żeby uratować jej życie. Nazywała się Josie Rinkenhauer.

— Wiedziałam! — mówi Trish, nie próbując już ukryć drżenia głosu. — A niech to, po prostu wiedziałam!

Odwraca się do niego i zaczyna płakać.

Pete podchodzi i kładzie rękę na jej ramieniu.

— Proszę zaczekać, Trish. Proszę chwilę zaczekać.

Popelnia błąd, zwracając się do niej po imieniu, bo przecież mu się nie przedstawiła, ale jest tak roztrzęsiona, że tego nie zauważa, więc wszystko jest w porządku.

— Skąd pani przyjechała? — pyta. — Bo nie jesteś z Bridgton, prawda?

— Nie, mamy biuro w Westbrook. Dennison Real Estate. To ta firma z latarnią morską.

Pete kiwa głową, jakby to mu coś mówiło.

— Stamtąd przyjechałam. Zatrzymałam się tylko przy aptece, żeby kupić aspirynę, bo przed dużą prezentacją... zawsze mam migrenę. To przez stres. Ależ dudni mi w głowie...

Pete kiwa głową ze współczuciem. Wie o tym co nieco. Oczywiście na ogół w jego przypadku problemem jest piwo, a nie stres, ale tak czy inaczej dobrze wie, o czym mowa.

— Miałam trochę czasu, więc zajrzałam do małej kafejki obok apteki, żeby napić się kawy... no wie pan, podobno

kofeina pomaga...

Pete znów kiwa głową. Wprawdzie to Henry jest psychiatrą, ale jak Pete wielokrotnie mu powtarzał, żeby być dobrym sprzedawcą, trzeba wiedzieć, jak działa ludzki umysł. Z zadowoleniem stwierdza, że jego nowa znajoma trochę się uspokoiła. To dobrze. Wydaje mu się, że zdoła jej pomóc, jeśli tylko mu pozwoli. Czuje, że to osobliwe doznanie znów tylko czeka, żeby się pojawić. Lubi je. W sumie to nic wielkiego, nie przysporzy mu fortuny, ale tak czy inaczej naprawdę je lubi.

— Zajrzałam też do Ronny'ego, po drugiej stronie ulicy. Kupiłam apaszkę... no wie pan, przez ten deszcz... — Dotyka dłonią włosów. — Potem poszłam do auta. I okazało się, że nie mam tych przeklętych kluczyków. Wróciłam po kolei do sklepu, kafejki i apteki, ale nigdzie ich nie ma! A teraz nie zdążę na spotkanie!

W jej głosie znów pojawia się nuta niepokoju. Spogląda na zegar. Dla niego czas płynie w ślimaczym tempie, dla niej gna jak oszalały. Na tym polega różnica między ludźmi, konstatuje Pete. A w każdym razie jedna z nich.

— Proszę się uspokoić — mówi. — Niech pani się uspokoi choć na chwilę i uważnie mnie posłucha. Pójdziemy razem do apteki i poszukamy pani kluczyków.

— Nie ma ich tam! Zajrzałam na półkę, z której wzięłam aspirynę i pytałam sprzedawczynię...

— Nie zaszkodzi sprawdzić raz jeszcze. — Prowadzi ją w stronę drzwi, popychając ją lekko przed sobą. Podoba mu się zapach jej perfum, a jeszcze bardziej podobają mu się jej włosy. A skoro wyglądają tak ładnie w deszczowy dzień, to jak muszą wyglądać, kiedy świeci słońce?

— Moje spotkanie...

— Ma pani jeszcze czterdzieści minut. O tej porze roku, kiedy już nie ma turystów, powinna pani dotrzeć do Fryeburga w dwadzieścia minut. Dziesięć minut poświęcimy na szukanie pani kluczyków, a jak ich nie znajdziemy, sam panią odwiozę.

Kobieta patrzy na niego nieufnie, z powątpiewaniem.

On spogląda ponad jej ramieniem, w stronę biura.

— Dick! — woła. — Hej, Dickie M.!

Dick Macdonald unosi wzrok znad pliku faktur.

— Powiedz tej pani, że nie ma czego się obawiać i w razie potrzeby odwiozę ją bezpiecznie do Fryeburga.

— Och, naprawdę nic pani nie grozi — zapewnia Dick. — Nie jest zboczeńcem ani nie prowadzi jak wariat. Najwyżej spróbuje pani sprzedać samochód.

— Mnie trudno coś wcisnąć — odpowiada kobieta, uśmiechając się pod nosem. — Ale zawsze może pan próbować szczęścia.

— Zastąpisz mnie pod telefonem, Dick? — pyta Pete.

— No nie wiem, lekko nie będzie. Przy takiej pogodzie, jak sam wiesz, klienci walą drzwiami i oknami.

Pete i brunetka — Trish — przechodzą na drugą stronę ulicy i docierają do oddalonej o kilkanaście metrów Main Street. Apteka mieści się w drugim budynku po lewej. Mżawka przybiera na sile, zmieniając się niemalże w solidny deszcz. Kobieta zarzuca na głowę nową chustkę i spogląda na Pete'a, który ma gołą głowę. — Zmoknie pan.

— Pochodzę z północy stanu — odpowiada. — Tam rodzą się prawdziwi twardziele.

— Myśli pan, że naprawdę zdoła je odnaleźć? — pyta kobieta.

Pete wzrusza ramionami.

— Może. Jestem niezły w znajdowaniu różnych rzeczy. Zawsze byłem.

— Wie pan coś, o czym ja nie wiem?

Żadnego odbijania piłki, żadnej gry, myśli. To wszystko, co wiem.

— Nie — odpowiada. — Jeszcze nie.

Wchodzą do apteki, a dzwonek nad drzwiami brzęczy. Dziewczyna za ladą unosi wzrok znad czasopisma. O trzeciej dwadzieścia w to późne wrześnieowe popołudnie w aptece nie ma żywego ducha poza ich trojgiem i panem Dillerem przy

stanowisku z lekami na receptę.

— Cześć, Pete — mówi sprzedawczyni.

— Czołem, Cathy, co u ciebie?

— Sam wiesz, stara bieda. — Spogląda na brunetkę. — Bardzo mi przykro, proszę pani. Sprawdziłam jeszcze raz, ale ich nie znalazłam.

— Nie szkodzi — Trish posyła jej wątły uśmiech. — Ten dżentelmen zgodził się zawieźć mnie na spotkanie.

— No cóż — odpowiada Cathy. — Pete jest w porządku, ale raczej nie nazwałabym go dżentelmenem...

— Uważaj, co mówisz, moja droga — ostrzega z uśmiechem Pete. — Bo wylądujesz w sieciówce na stacji benzynowej w Naples.

Patrzy na zegarek. Dla niego także czas zaczął przyspieszać. No i dobrze, to miła odmiana.

Spogląda na Trish.

— To tutaj przysła pani najpierw. Po tabletki.

— Zgadza się. Kupiłam anacin. Ale miałam jeszcze trochę wolnego czasu, więc...

— Wiem, poszła pani na kawę do Christie's, a później do Renny's po drugiej stronie ulicy.

— Tak.

— Popiła pani aspirynę gorącą kawą?

— Nie. Miałam w aucie butelkę wody mineralnej. — Trish wskazuje ręką przez szybę na zielonego taurusa. — Ale sprawdziłam na fotelu, panie... Pete. W stacyjce też ich nie zostawiłam. — Posyła mu zniecierpliwione spojrzenie, które mówi: „Wiem, co teraz myślisz: głupia baba”.

— Jeszcze jedno pytanie. Jak znajdę pani kluczyki, wybierze się pani ze mną na kolację? Moglibyśmy się spotkać w West Wharf. To po drodze... pomiędzy Bridgton a...

— Wiem, gdzie jest West Wharf — mówi kobieta, nieco rozbawiona, pomimo niepokoju. Przy ładzie Cathy nawet nie próbuje udawać, że czyta czasopismo. Zresztą to, co się dzieje, jest znacznie ciekawsze niż „Redbook”. — A skąd pan

wie, że nie jestem mężatką?

— Nie nosi pani obrączki — odpowiada skwapliwie, choć nawet nie popatrzył na jej dłonie, a w każdym razie nie miał okazji dobrze im się przyjrzeć. — Poza tym proponuję tylko smażone małże, sałatkę coleslaw i ciasto z truskawkami, a nie związek na całe życie.

Kobieta patrzy na zegar.

— Pete... panie Moore... obawiam się, że w tej chwili nie w głowie mi flirtowanie. Jeżeli zechce mnie pan podwieźć, chętnie wybiorę się z panem na kolację. Ale...

— To mi wystarczy — odpowiada. — Ale coś mi mówi, że będzie pani prowadzić swój własny samochód, więc spotkajmy się na miejscu. Może być wpół do szóstej?

— Oczywiście, ale...

— Doskonale. — Pete jest uszczęśliwiony. To dobrze. W ostatnich latach nie czuł się zbyt szczęśliwy i w sumie nie wie nawet dlaczego. Z powodu zbyt wielu długich zakrapianych wieczorów w knajpach przy szosie numer trzysta dwa, pomiędzy Bridgton a North Conway? Tak, ale czy to wszystko? Może nie, ale nie czas się nad tym zastanawiać. Ta kobieta ma bardzo ważne spotkanie. Jeżeli zdąży dotrzeć na miejsce i sprzeda ten dom, kto wie, może szczęście uśmiechnie się także do Pete'a Moore'a? A jeśli nawet nie, przynajmniej jej pomoże. Ma przeczucie, że da radę.

— Zrobię coś dziwnego — mówi. — Ale proszę się nie niepokoić, dobrze? To tylko taka mała sztuczka, jak przyłożenie palca pod nos, żeby powstrzymać kichnięcie, albo uderzenie się w czoło, żeby przypomnieć sobie czyjeś nazwisko. W porządku?

— Chyba tak — odpowiada kobieta, ale minę ma nietęgą.

Pete zamyka oczy, unosi dłoń zaciśniętą luźno w pięść na wysokość twarzy, a potem prostuje palec wskazujący. I zaczyna poruszać nim z boku na bok.

Trish zerka na Cathy. Ta wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A kto go tam wie?”.

— Panie Moore? — W głosie Trish pobrzmiewa niepewność. — Panie Moore, może powinnam...

Pete otwiera oczy, bierze głęboki oddech i opuszcza rękę. Patrzy w stronę drzwi, za kobietę.

— Dobrze — mówi. — A więc weszła pani tutaj... — Jego wzrok przesuwają się, jakby śledził jej wizytę w aptecce. — I podeszła pani do lady... — Przenosi wzrok w tę stronę. — Przypuszczam, że zapytała pani, gdzie znajdzie aspirynę albo coś w tym rodzaju.

— Tak...

— Ale kupiła pani coś jeszcze. — Widzi go, przy regale ze słodyczami, wyraźny, jasnożółty ślad, jak odcisk ręki. — Snickersa?

— Moundsa. — W jej brązowych oczach pojawia się zdumienie i niedowierzanie. — Skąd pan wiedział?

— Najpierw poszła pani po batoniki, a potem po aspirynę... — Spogląda teraz w głąb drugiej alejki między regałami. — Na koniec pani zapłaciła i wyszła... Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz, dobrze? Na razie, Cathy.

Cathy tylko kiwa głową i patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

Pete wychodzi na zewnątrz, nie zważając na dźwięk dzwonka ani na deszcz, który teraz leje jak z cebra. Na chodniku wciąż widać żółte ślady, ale szybko blakną. Deszcz zmywa je z chodnika. Ale on je widzi i to go cieszy. Znowu czuje to osobliwe kliknięcie gdzieś w swoim wnętrzu. Cudowne. To linia. Tyle czasu minęło, odkąd widział ją równie wyraźnie.

— Z powrotem do auta — mówi do siebie. — Żeby popić aspirynę wod...

Wolno przechodzi przez chodnik w stronę taurusa. Kobieta idzie za nim, wydaje się bardziej zaniepokojona niż wcześniej. Jest nieomal przerażona.

— Otworzyła pani drzwi... Miała pani torebkę... kluczyki... aspirynę... batonik... przekładała pani to wszystko z jednej ręki

do drugiej... i wtedy...

Schyła się, zanurza rękę aż po nadgarstek w wodzie płynącej w rynsztoku przy krawężniku i nagle coś znajduje. Wykonuje szarmancki gest, jak iluzjonista prezentujący sztukę. W słabym świetle dnia kluczyki połyskują srebrzyście.

— ...upuściła pani kluczyki.

W pierwszej chwili nie odbiera ich od niego. Patrzy tylko, z rozdziawionymi ustami, jakby na jej oczach dokonał isticie czarnoksiężkiej sztuczki (mającej być może jakiś związek z prawdziwą czarną magią, kto to wie?).

— Śmiało — mówi do niej, a uśmiech znika powoli z jego ust. — Proszę je wziąć. Nie ma w tym nic niezwykłego. Zwyczajna dedukcja, nic więcej. Jestem w tym niezły. I powinna pani mieć mnie przy sobie, gdy zgubi pani drogę w nieznaney okolicy. Świetnie potrafię odnajdywać drogę, to mój największy atut.

Dopiero teraz odbiera od niego kluczyki. Szybko, żeby nawet przypadkiem nie dotknąć jego palców, a on już wie, że się z nim nie spotka. Nie potrzeba żadnego szczególnego daru, żeby się tego domyślić — wystarczyło spojrzeć jej w oczy i dostrzec strach zamiast wdzięczności.

— Dziękuję... bardzo panu dziękuję... Naprawdę. — Cofa się o krok, żeby zachować dystans.

— Nie ma o czym mówić. Tylko proszę pamiętać. West Wharf, o wpół do szóstej. Najlepsze smażone małże w tej części stanu. — Stara się podtrzymywać iluzję. Czasami tak trzeba, niezależnie od tego, co czujesz. I choć to popołudnie utraciło sporo ze swojego wcześniejszego uroku, Pete nadal ma powody do zadowolenia, bo przecież zobaczył linię, a to zawsze wprawia go w dobry nastrój. Może to tylko mało istotna sztuczka, ale tak czy owak dobrze, że ją zna.

— Wpół do szóstej — powtarza kobieta, ale otwierając drzwi, spogląda na niego z ukosa jak na psa, który może ukąsić, gdyby tylko zerwał się z łańcucha. Cieszy się, że nie musi jechać z nim do Fryeburga. Pete i bez jasnowidzenia

zdaje sobie z tego sprawę.

Stoi w strugach deszczu, patrząc jak kobieta wyprowadza wóz z miejsca, gdzie zaparkowała, i żegna ją typowym dla handlarza samochodów, energicznym machaniem ręki. W odpowiedzi ona wykonuje prawie niedostrzegalny gest, poruszając palcami. I oczywiście, kiedy on zjawia się w West Wharf (kwadrans po piątej, ot tak, na wszelki wypadek), nie ma jej i nie pojawia się tam nawet godzinę później. Mimo to Pete czeka na nią jeszcze jakiś czas, siedząc przy barze i sącząc piwo, a przy okazji obserwuje samochody mknące trzystadwójką. Odnosi wrażenie, że ją dostrzega, jak przejeżdża tą drogą o piątej czterdzieści, nie zwalniając ani na moment. Zielony taurus mignął mu w strugach ulewnego deszczu; zielony taurus, który mógł ciągnąć za sobą błady żółtawy nimb, rozplywający się w gęstniejącej szarówce.

Nowy dzień, stary szajs, myśli, jednak cała radość, jaką odczuwał, znika i powraca smutek, ten smutek, który wydaje mu się czymś, na co zasługuje, jak cena nie do końca zapomnianej zdrady. Zapala papierosa — dawno temu, kiedy był nastolatkiem, lubił udawać, że pali, ale teraz już nie musi udawać — i zamawia kolejne piwo.

Milt podaje mu je, ale mówi: „Powinieneś coś wrzucić na ruszt”.

Pete zamawia porcję małży i nawet zjada parę sztuk, z sosem tatarskim, wypijając przy okazji jeszcze dwa piwa, a potem, zanim przeniesie się do innej knajpy, gdzie nie znają go tak dobrze jak tu, próbuje zadzwonić do Jonesy’ego do Massachusetts. Jednak Jonesy i Carla najwyraźniej wybrali się gdzieś razem, bo telefon odbiera opiekunka do dziecka, która pyta go, czy chciałby zostawić wiadomość.

Pete już ma odpowiedzieć że nie, ale nieoczekiwanie zmienia zamiar.

— Proszę mu powiedzieć, że dzwonił Pete. I że powiedział NDSS.

— N... D... S... S... — Zapisuje. — Czy on będzie

wiedział, co...

— O tak — odpowiada Pete. — Na pewno będzie wiedział.

Do północy upija się w sztok w spelunie w New Hampshire, Muddy Rudder, a może Ruddy Mother, próbuje wmówić jakiejś laluni, równie pijanej jak on, że będzie pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na Marsie. Choć ona tylko kiwa głową i potakuje raz po raz, on wie, że zależy jej wyłącznie na tym, aby przed zamknięciem wypić jeszcze jedną kawę z brandy. No i dobrze. To nie ma znaczenia. Jutro obudzi się z bolącą głową, ale i tak pojedzie do pracy i może nawet uda mu się sprzedać samochód, a może nie. Tak czy owak, życie potoczy się dalej. Może nawet sprzeda thunderbirda, tego w kolorze burgunda, żegnaj, moja piękna. Kiedyś wszystko było inne, teraz jest takie samo. Mimo to sądzi, że da sobie radę, dla niego najważniejsza jest zasada NDSS, i co mu zrobia? Dorastasz, stajesz się mężczyzną i musisz pogodzić się z tym, że dostajesz mniej, niż się spodziewałeś; odkrywasz, że maszyna do spełniania marzeń ma kartkę z napisem NIE DZIAŁA.

W listopadzie wybierze się z kumplami na polowanie i to jest coś, na co warto czekać... na to i może też na soczystego łodzika od tej podpitej uszminkowanej laluni w jego aucie. Oczekiwać czegoś więcej, to jak prosić się o rozczarowanie.

Marzenia są dla dzieciaków.

1998: Henry przyjmuje kozetkowego pacjenta

W gabinecie panuje półmrok. Henry zawsze reguluje oświetlenie, kiedy gości pacjentów. Co ciekawe, mało kto zwraca na nie uwagę. Zdaniem Henry'ego to dlatego, że ich umysły są spowite mrokiem. Przyjmuje zwłaszcza neurotyków (w lasach aż się od nich roi, jak powiedział kiedyś Jonesy'emu, kiedy byli akurat, ha, ha, w lesie) i jego zdaniem, skądinąd niepopartym naukowo, ich problemy są jak polaryzujące tarcze

oddzielające ich od reszty świata. W miarę jak neuroza się pogłębia, gęstnieje także mrok w ich wnętrzu. Względem pacjentów odczuwa nieco zdystansowane współczucie. Czasami jest mu ich szkoda. Niektórzy — tych jest zaledwie garstka — zwyczajnie go irytują. Barry Newman do nich właśnie należy.

Pacjenci, którzy po raz pierwszy przestępują próg gabinetu Henry'ego, stają z miejsca przed wyborem, choć w większości nie zdają sobie z tego sprawy. Po wejściu do środka widzą miły (choć tonący w półmroku) pokój z kominkiem po lewej. Kominek jest wyposażony w imitację bierwion — drewno opałowe stylizowane na brzozę tak naprawdę jest ze stali — i cztery przemyślnie rozmieszczone z tyłu gazowe palniki. Obok kominka stoi wielki fotel, w którym zawsze siada Henry. Nad fotelem wisi doskonała reprodukcja *Nagietków* van Gogha (Henry w rozmowach z kolegami mawia zwykle, że każdy psychiatra powinien mieć w gabinecie przynajmniej jednego van Gogha). Po drugiej stronie pokoju stoi fotel i kozetka.

Henry'ego zawsze frapuje, co wybierze nowy pacjent. Pracuje w zawodzie dostatecznie długo, by wiedzieć, że ten pierwszy wybór określa zachowanie pacjenta podczas kolejnych wizyt. To materiał na poważną pracę naukową. Henry wie o tym, ale nie potrafi sformułować właściwej tezy. A poza tym ostatnio coraz mniej interesują go prace naukowe, czasopisma branżowe, zjazdy i wykłady. Kiedyś się liczyły, ale to się zmieniło. Mniej sypia, mniej je, rzadziej się śmieje. Mrok — ten polaryzujący filtr — wniknął także do jego życia, a Henry niespecjalnie się tym przejął. Blask już tak nie razi.

Barry Newman od początku był pacjentem kozetkowym, a Henry ani przez chwilę nie sądził, że ma to związek ze stanem psychicznym Barry'ego. Po prostu na kozetce jest wygodniej, choć niekiedy Henry musi pomóc mu wstać, kiedy minie przeznaczone na wizytę pięćdziesiąt minut. Barry Newman ma metr sześćdziesiąt osiem wzrostu i waży sto

dziewięćdziesiąt kilo. Dlatego właśnie wybrał kozetkę.

Podczas każdej sesji wygłasza długie monologi, w których relacjonuje swoje kulinarne przygody z całego tygodnia. Nie żeby Barry miał wyrafinowany gust, nic z tych rzeczy. Jest wręcz przeciwnie. Barry pochłania wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Jest niczym maszyna do pochłaniania. A jego pamięć w tej kwestii wydaje się niemalże pamięcią ejdetyczną. Jedzenie jest dla niego tym, czym dla Pete'a, kumpla Henry'ego, jest geografia i orientacja w terenie.

Henry już prawie zrezygnował z prób odciągnięcia Barry'ego od drzew i pokazania mu lasu z szerszej perspektywy. Po części dlatego, że pacjent przejawia łagodną, choć niewzruszoną determinację, jeżeli chodzi o tematykę rozmów — chce mówić wyłącznie o jedzeniu i konkretnych potrawach — po części zaś dlatego, że Henry nie lubi Barry'ego. Nigdy za nim nie przepadał. Rodzice Barry'ego nie żyją. Ojciec odszedł, kiedy Barry miał szesnaście lat, matka — gdy miał dwadzieścia dwa. Zostawili mu spory majątek, ale przejdzie on na własność Barry'ego dopiero wtedy, kiedy ten skończy trzydzieści lat. O ile nie zrezygnuje z terapii. W przeciwnym razie pieniądze będą zarządzane przez fundusz, dopóki Barry nie przekroczy pięćdziesiątki.

Henry wątpi, czy pacjent dożyje pięćdziesięciu lat. Ciśnienie krwi Barry'ego (o czym wspominał Henry'emu z niejaką dumą) wynosi sto dziewięćdziesiąt na sto czterdzieści.

Poziom cholesterolu osiągnął dwieście dziewięćdziesiąt, to istna żyła złota lipidów.

Jestem chodzącym udarem mózgu, chodzącym zawałem serca, powiedział Henry'emu któregoś razu, z niewzruszoną powagą, jakby wyznawał tę bolesną, trudną prawdę, w głębi duszy wiedząc, że taki koniec na pewno go nie spotka, bo dla niego jest przewidziane coś całkiem innego.

— Zjadłem na lunch w Burger Kingu dwa podwójne burgery — mówi teraz. — Przepadam za nimi, bo ser w nich jest zawsze gorący.